

Rafał A. Ziemkiewicz

Łąka

Trawa, rozgrzana słońcem, wydawała z siebie jedyny w swoim rodzaju zapach, jaki można poczuć tylko raz w roku. Zapach lata. Wszystkie parki i łąki zaroily się od opalonych na brąz rozkrzyczanych dzieci, goniących się bez przerwy, rzucających piłkami i gumowymi pajakami. Cały skwer przy Rodison Street pełen był ich wrzasku i śmiechu.

Tylko pięcioletni Jim siedział na uboczu, na ławce, w cieniu rozłożystego kasztanowca. Siedział i smutnym wzrokiem przyglądał się rozbawionym rówieśnikom i wylatującej co chwila ponad krzaki żółtoczerwonej piłce. Jego opiekunka siedziała obok, pochłonięta od dobrych kilku minut jakimś tanim romansem w barwnej okładce, do tego stopnia, że zapomniała zupełnie o Jimie i o całym świecie.

Piłka znowu wystrzeliła do góry, przy akompaniamencie dochodzących zza krzaków dziecięcych śmiechów, tym razem jednak spadła nie tam, gdzie powinna, i potoczyła się prawie do samych stóp Jima.

Jim miał wielką ochotę podnieść się i odrzucić piłkę. Kątem oka spojrzął na opiekunkę; czytała. Zsunął się z ławki i wziął piłkę w rękę.

— Hej, chudeusz! Oddawaj to! — Zza krzaków wyszedł jasnowłosy chłopiec w krótkich spodenkach.

Jim spojrzął na niego nienawistnie. Nadal trzymał piłkę w rękę.

— Słyszysz, zdechlak? Rzuć to — poparł jasnowłosego drugi chłopak. Za nim stanęło kilkoro innych dzieci.

Jim położył piłkę na trawie, cofnął się kilka kroków i z całej siły kopnął ją z rozbiegu. Poszybowała gdzieś w bok, obracając się wokół własnej osi i kozłując po ziemi.

Jasnowłosy chłopak zaczął się śmiać.

— Zde-chlak, zde-chlak! — wrzeszczał trzymając się za brzuch. — Nawet piłki kopnąć nie umie!

Jim odwrócił się i podszedł do swojej ławki. Nagle poczuł silne uderzenie w plecy, od którego aż ukląkł na trawie. Odwrócił się.

Jasnowłosy chłopak podbiegł właśnie i zręcznie chwycił piłkę odbitą od pleców Jima. Rzucił znowu i — bęc! — tym razem trafił Jima prosto w nos. Dzieci śmiały się.

Łzy zakręciły się Jimowi w oczach. Podniósł się i zaciskając pięści rzucił na jasnowłosego.

— Zdechlak mnie goni, Zdechlak mnie goni! — wrzeszczał chłopak grając mu na nosie.

Jim zacisnął zęby, biegł, ktoś znowu rzucił w niego piłką, tym razem trafił go w rękę. Jim zmienił kierunek i pobiegł za nim. I jeszcze raz.

Nagle dobiegł go krzyk opiekunki, którą coraz głośniejsze śmiechy oderwały od lektury:

— Jim! O Boże, Jim, zatrzymaj się natychmiast! Łobuzy! Wynoście się stąd!

Kątem oka dostrzegł biegnącą w jego kierunku pannę Teller. Niemal w tym samym momencie został uderzony piłką w tył głowy, ale już prawie tego nie poczuł. Nagle zabrakło mu tchu, nogi zrobiły się miękkie jak z waty, przed oczyma zawirowały złote kręgi. Potworne klucie w piersiach, po lewej stronie, pulsowanie w uszach...

— Jim! Jim!

Nogi ugiwały się pod nim coraz niżej, coraz wolniej. Świat rozptywał się powoli, ciemniał... Twarz blisko pachnącej, świeżo ściętej trawy i jeszcze tylko kilkanaście centymetrów...

Słońce pochylało się coraz niżej ku zachodowi, oświetlając ciepłymi promieniami wielkie żółte kwiaty pokryte rosą. Jim podniósł głowę z trawy. Był znowu na Łące.

— Cześć, Jim. — Will siedział pod drzewem jedząc ogromną poziomkę.

Jim przeciągnął się. Zerwał jeden z kwiatów i przez chwilę wypijał z niego rosę, która smakowała jak lemoniada w drugistorze pana Smitha.

— Cześć, Will.

— Dziś jest trochę chłodniej — powiedział Will w zamyśleniu. — Ale słońce wciąż wysoko. Będziesz jeszcze musiał tam wrócić. Co masz ochotę dziś robić?

— Na razie nic. Chciałbym tak leżeć i patrzeć na słońce.

Zerwał sobie poziomkę i ugryzł ją.

— Powinniśmy dziś wpaść do Sowy — powiedział Will. — Chyba na imieniny. Zapraszała cię.

Sowa mieszkała na drugim końcu Zaczarowanego Lasu i bardzo często obchodziła imieniny.

Jim lubił, kiedy Sowa wydawała w swojej dziupli przyjęcia. Przychodził na nie Miś i wielki mądry Sum, a czasem przylatywały też ptaki, które uczyły Jima fruwać nad Zaczarowanym Lasem.

Podniósł się.

— Idziemy do Sowy — powiedział. — Widzisz to drzewo? Kto drugi, ten frajer!

Rzucili się przed siebie, nie trując wcale trawy ani kwiatów. Jim przybiegł pierwszy. Śmiali się idąc przez las śpiewających drzew i pili po drodze rosę z kwiatów. Gdy wreszcie przyszedli do Sowy, okazało się, że właśnie rozpoczyna się imieninowe przyjęcie i Sowa rozdaje wszystkim prezenty. Potem jedli słodkie konfitury słuchając opowieści Suma i trwało to wszystko długo i Jim znowu był szczęśliwy jak nigdy.

— O Boże, o mój Boże, pani Teller, jak pani mogła... O mój Boże, Jim... — jęczała matka Jima.

— Ależ pani Hudson... — usiłowała tłumaczyć się opiekunka.

— Niech pani nic nie mówi, niech pani milczy, to wszystko przez panią!!! — wrzeszczała histerycznie matka. — O mój Boże, mój biedny Jim!

— Cicho! — syknął ktoś z pochylonych nad nim ludzi. — Niech pani wreszcie przestanie. Zdaje się, że wraca do przytomności.

Jim otworzył oczy i poruszył zsiniałymi wargami.

— Jim... o Boże, Jim... — Matka zaczęła płakać. Pochyliła się nad nim. Jim z trudem uniósł głowę. Był jeszcze bardzo słaby. Tętnienie w uszach cichło bardzo powoli, ciągle jeszcze zagłuszając większość odgłosów świata.

Przy krawężniku alejki zatrzymał się wezwany ambulans.

— Mają tempo — mruknął ktoś pod nosem, patrząc na zegarek. Od momentu utraty przez chłopca przytomności do wezwania karetki upłynęły niecałe dwie minuty.

* * *

To zdarzyło się po raz pierwszy, kiedy miał trzy lata. Jechał z mamą autobusem, gdy nagle poczuł tętnienie w uszach i osunął się na podłogę. Na Łące słońce właśnie wschodziło, a Will i Sowa czekali na niego pod poziomkowym drzewem.

Rodzice pomyśleli wtedy, że po prostu za długo przebywał na słońcu albo za wiele biegał. Upłynęło chyba z pół roku, i dawno już zdążyli o tej sprawie zapomnieć, gdy Jim przeniósł się na Łakę po raz drugi, a potem trzeci i czwarty. Wtedy rodzice zaczęli się niepokoić. Zaprowadzili go do lekarza. Lekarz badał Jima bardzo długo i starannie. Potem poprosił do siebie rodziców i długo coś im tłumaczył. Ojciec wyszedł z gabinetu blady jak ściana, a matka miała w oczach łzy. Przytuliła Jima do siebie w taki dziwny sposób i zaczęła płakać.

Potem Jim często przenosił się na Łakę i wiedział już, że któregoś dnia zostanie tam na zawsze, kiedy słońce schowa się za horyzont. Wystarczyło, żeby trochę pobiegał albo nawet długo chodził, a już zaczynało się znajome klucie w piersiach, tętnienie w uszach; tracił wtedy równowagę i przytomność. Matka zabraniała mu wychodzenia na dwór, mógł tylko siedzieć w cieniu i patrzeć, jak inne dzieci się bawią. Mimo to bywał na Łące coraz częściej.

Nieraz mama zabierała go daleko, do różnych doktorów, którzy najpierw oglądali go długo, przykładali mu do piersi i pleców różne zimne, metalowe płytki i kolorowe kable podłączone do wielkich białych maszyn, a potem rozkładali bezradnie ręce i mówili jakieś słowa, których Jim nie rozumiał.

Któregoś dnia, kiedy wracali od jednego z nich, zapytał w autobusie: „Mamo, kiedy ja wreszcie umrę?” Matka rozplakała się na dobre i przez całą drogę powtarzała mu, żeby nie mówił głupstw. Zupełnie nie wiedział, dlaczego płakała.

* * *

Tego dnia Jim długo nie mógł zasnąć. Leżał z zamkniętymi oczyma i rękami podłożonymi pod głowę, wsłuchując się w głosy rodziców dobiegające wraz ze smugą światła zza wpół domkniętych drzwi pokoju.

— John, sam wiesz, wiesz dobrze, że to jest już jedyna nadzieja — mówiła matka. W jej głosie chyba jeszcze nigdy Jim nie słyszał tyle zdecydowania i siły. — To ostatnia szansa. Nie możemy jej zmarnować. Jeśli się nie zgodzisz, sama zbiorę te pieniądze.

— Ależ kochanie, trzeba się dobrze zastanowić. Może to jakiś zwykły szarlatan, wydrwigrosz?! Może to jego całe leczenie operacyjne tych... jak im tam, cholera, nieważne — może to tylko wielkie oszustwo, które ma mu przynieść mnóstwo forsy kosztem nas i Jima? Wiesz, że naukowcy...

— Och, John, przestań! Naukowcy już dawno skazali Jima na śmierć!

— Nie krzycz tak, on śpi.

— A poza tym — matka ściszyła głos — on nie jest szarlatanem. Jest przecież profesorem, pracował nad tym wiele lat. Wiem, wiem, twoi naukowcy uważają go za szaleńca, braci Wright też uważano za wariatów. Ale szarlatani zawsze obiecują wszystko, czego zapragniesz, a on (szeregi papierów) zobacz sam, nie ukrywa, że szansę są małe. Widzisz — około trzydziestu procent. Ale to są jedyne szansę Jima, rozumiesz, John?

— Nawet gdybyśmy sprzedali wszystko, co mamy, nie wystarczyłoby na tę operację. A jeżeli nawet, to powiedz mi, co zrobisz ze zdrowym Jimem, bez domu, samochodu — wszystkiego? Co mu dasz jeść?

— Jakoś damy sobie radę, John. Zdobędziemy te pieniądze choćby spod ziemi. A potem zaniemiemy je Stortsowi i on wyleczy Jima. Jestem pewna, że mu się to uda. Posłuchaj, John...

Głosy rodziców zniżyły się do szeptu i płynęły obok zasypiającego Jima szeleszczącym strumieniem, w którym jak refren kołysanki powtarzały się słowa: „Ludzie pomogą, John, pomogą...”

W ciągu paru najbliższych tygodni w domu bez przerwy trzaskały drzwi. Przez pokoje przewijały się dziesiątki ludzi, znajomych i nieznajomych; przynosili ze sobą błyskające białym światłem aparaty, takie jak u wujka Billy’ego, albo podobne do nich podłużne przedmioty, które wydawały z siebie cichy terkot. Kilka razy widział siebie w telewizji, w swoim mieszkaniu, z mamą, która coś mówiła. Aż pewnego dnia wsiedli wszyscy do samochodu i jechali długo, prawie cały dzień.

Potem Jim już niewiele pamiętał. Jakieś długie, białe korytarze, jakaś wielka sala, dziwne białe światło płynące zewsząd i oświetlające wszystko. Pamiętał, że ubrana na biało siostra przyłożyła mu do twarzy gumową maskę, i że zasnął.

* * *

— Obudził się!!! — krzyknął wesoło ojciec, spojrzawszy nagle na Jima. — Jim!

Trwający ułamek sekundy błysk. Jeszcze jeden, i następny, i znowu. Wokół jego łóżka było pełno ludzi.

— Jestem tak bardzo, tak bardzo szczęśliwa — mówiła uśmiechnięta matka do jakiegoś człowieka, który podsuwał jej pod nos podłużny przedmiot. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie były to te łzy, do których Jim już się przyzwyczył. — Taka szczęśliwa...

— No oczywiście, spodziewam się teraz większej liczby pacjentów. Ceny zabiegów, niestety, nie mogę obniżyć — mówił do innego podłużnego przedmiotu siwy, łysiejący mężczyzna w białym fartuchu.

— Jim! Jim! Jesteś zdrowy, wiesz? Będziesz mógł teraz biegać, grać w piłkę...

— Jak nigdy... nigdy w życiu...

— ...jak wszystkie inne dzieci, Jim, nie cieszysz się?

— Oczywiście, pewnych trudności technicznych na razie nie udało się rozwiązać...

— Jak nigdy...

— A co sądzi pani o...

— ...co jednak nie powinno...

— ...Jim!

— Przecież on tego nie rozumie — zwrócił ktoś uwagę ojcu.

I wtedy właśnie Jim zrozumiał wszystko. Wtedy zrozumiał, że Łąka przepadła już na zawsze, że nigdy nie zobaczy Willa ani Sowy, ani Suma, i nigdy już nie będzie jadł ogromnych poziomek w Zaczarowanym Lesie, a potem pomyślał o tych głupich dzieciach, dla których zawsze będzie Zdechlakiem, Chuderlakiem–Jimem, Niedołęgą–Jimem, i o ich żółto–czerwonej piłce. I kiedy tak myślał o Willu i o Łące, nagle spod jego powiek spłynęły po policzkach ogromne gorące łzy. Ale wszyscy dokoła byli zbyt szczęśliwi, żeby je dostrzec. Za otwartym oknem monotonnie szumiał świat. Tak bardzo dorosły i tak potwornie smutny.

marzec 1982